

GROMY I RÓŻE

Kiedy Pete Mawser przeczytał wiadomość o koncercie, odwrócił się od tablicy ogłoszeń w Kwaterze Głównej, dotknął swej szorstkiej brody i pomimo że miał to być show wideo, oglądany w koszarach, postanowił się ogolić. Jest jeszcze półtorej godziny. Dobrze mieć znów jakiś cel, chociaż tę niewielką sprawę — zdążyć się ogolić przed ósmą. Wtorek, godzina ósma, tak jak kiedyś. W środę rano wszyscy zawsze pytali: „Jak śpiewała Starr wczoraj wieczorem *The Breeze and I*?

To było jakiś czas temu, przed atakiem, zanim ci wszyscy ludzie umarli, zanim ten kraj stał się martwy. Starr Anthim — symbol, jak Crosby, Duse, Jenny Lind, jak Statua Wolności. (Wolność ugodzono prawie na samym początku; jej spiżowe piękno ulotniło się w pyłe radioaktywnym i jeszcze teraz roznosiły je błędzące wiatry, które słały się ponad ziemią).

Pete Mawser chrząknął i odegnał myśli o dryfujących, zatrutych okruchach zniszczonej wolności. Na początku była nienawiść; wszechobecna jak potężniejąca nocą w powietrzu błękitna luna, jak napięcie, które zawisło nad Bazą.

Dobiegający z rzadka, gdzieś z daleka, trzask wystrzałów przybliżył się. Pete wyszedł na ulicę i skierował się w stronę zaparkowanej ciężarówki. Na wąskim stopniu siedziała dziewczyna z Korpusu Kobiecego.

Na rogu jakaś krępa postać wycofała się do skrzyżowania. Mężczyzna trzymał pistolet maszynowy, którym kołysał nadając mu ruch łagodnie powiewającej na dachu chorągiewki. Szedł w ich kierunku chwiejnym krokiem, wodząc lufą karabinu. Z budynku padł strzał. Na dźwięk wystrzału mężczyzna obrócił się i siarczyście zaklął.

— Jest ślepy — powiedział Pete Mawser. — Powinien być — dodał patrząc na pooraną bliznami twarz.

Zawyła syrena. Uzbrojony jeep zawrócił i wjechał w ulicę. Przerażliwy szczęk dwóch pistoletów maszynowych kaliber 50 przyniósł szybki i wstrząsający koniec zajścia.

— Biedny głupi dzieciak — powiedział cicho Pete. — To już czwarty, którego dzisiaj widziałem. — Spojrzał na dziewczynę z Korpusu Kobiecego. Uśmiechała się. — Hej! — zawołał.

— Cześć, sierzancie. — Musiała rozpoznać go już wcześniej, ponieważ teraz nie zareagowała ani wzrokiem, ani głosem. — Co się stało? — spytała.

— Przecież wiesz. Jakiegoś dzieciaka męczyło, że nie ma już o co się bić ani dokąd uciekać. Co się z tobą dzieje?

— Nie — powiedziała — nie o to mi chodzi. — Wreszcie spojrzała na niego. — Mam na myśli to wszystko... Nie mogę sobie przypomnieć.

— Widzisz... no cóż, tego się łatwo nie zapomina. Trafili nas. Trafili nas wszędzie za pierwszym razem. Wszystkie duże miasta poszły. Dostaliśmy z obu stron. Dostaliśmy za dużo. Powietrze staje się radioaktywne. Wszyscy... — zreflektował się. Ona nie wie. Zapomniała. Nie było dokąd uciekać, więc schroniła się we własnym wnętrzu, właśnie tam. Dlaczego miałby jej powiedzieć? Dlaczego miałby jej mówić, że wszyscy poumierają? Dlaczego miałby jej oznajmić również i tę haniebną prawdę — że nie wykonaliśmy uderzenia odwetowego?

Ona jednak nie słuchała. Wciąż przyglądała mu się. Jej oczy patrzyły zezem: jedno wprost w jego oczy, drugie, trochę rozbiegane, zdawało się patrzeć mu w skroń. Znów się uśmiechała. Kiedy zamilkł, nie nakłaniała go do dalszego mówienia. Mężczyzna oddalił się powoli. Nie odwróciła

głowy, lecz nadal patrzyła tam, gdzie przedtem stał, uśmiechając się delikatnie. On odszedł szybko, jakby chciał uciekać.

Jak długo człowiek może wytrzymać? Kiedy jesteś w wojsku, próbują cię zmusić, abys stał się taki sam jak wszyscy. Co robisz, kiedy inni wariują?

Zatarł w pamięci obraz siebie samego jako ostatniego człowieka przy zdrowych zmysłach. Myślał o tym już zresztą wcześniej, co prowadziło zawsze do tego samego wniosku, iż byłoby lepiej znaleźć się wśród pierwszych, którzy zwariowali. Nie był jeszcze do tego gotów. Po chwili i ten obraz zatarł w pamięci. Zawsze gdy mówił sobie, że nie jest jeszcze gotów, coś zadawało mu pytanie „dlaczego nie?”. A on nigdy nie miał gotowej odpowiedzi.

Jak długo człowiek może wytrzymać?

Wspiął się po schodach do Centrali Kwatermistrzostwa i wszedł do środka. Przy łącznicy telefonicznej nie było nikogo. Nie miało to zresztą znaczenia. Informacje dostarczano za pomocą jeepów lub motocykli. Dowództwo Bazy nie nalegało, aby w tych dniach ktokolwiek był uwiązany przy robocie siedzącej. Ale każdy z dziesięciu pracujących przy biurku zwariowałby na miejscu tego z jeepa albo z piechoty. Pete postanowił dać piechocie jutro trochę w kość. Dobrze jej to zrobi. Miał jednak nadzieję, że tym razem adiutant nie wybuchnie płaczem na środku placu apelowego. Wszystko zawsze idzie zgodnie z podręcznikiem — dopóki się coś takiego nie zdarzy.

Na korytarzu koszar wpadł na Sonny'ego Weisenfreunda. Okrągła, młodzieńcza twarz technika była jak zawsze rozradowana. Stał nagi i rozgrzany, z przerzuconym przez ramię ręcznikiem.

— Hej, Sonny. Jest dużo gorącej wody?

— Dlaczego miałoby nie być? — uśmiechnął się promiennie Sonny. Pete odwzajemnił uśmiech zastanawiając się, czy w ogóle można coś o czymkolwiek powiedzieć unikając tamtych wspomnień. Oczywiście, że była gorąca woda. Koszary Kwatermistrzostwa zapewniały ją trzystu osobom, a pozostało ich tylko kilkadziesiąt. Część ludzi zginęła, trochę zwaляo, resztę wzięto pod klucz, aby nie...

— Starr Anthim daje koncert dziś wieczorem.

— Jak zawsze we wtorek wieczór? Kiepski żart, Pete. Nie wiesz, że jest wojna...

— To wcale nie żart — powiedział szybko Pete. — Ona jest tutaj, właśnie tu, w Bazie.

Twarz Sonny'ego rozjaśniła się.

— O rany! — powiedział zaskoczony. Ściągnął ręcznik z ramienia i okręcił się nim w pasie. — Starr Anthim tutaj! Gdzie oni zamierzają urządzić ten występ?

— Kwatera Główna, jak sądzę. Tylko wideo. Wiesz, jak to jest ze zgromadzeniami publicznymi.

— Mhm. Bardzo dobrze, z pewnością ktoś by pękł — powiedział Sonny.

— Nie chciałbym, żeby ona coś takiego zobaczyła. Pete, jak ona się tu dostała?

— Zniosło ją tu ostatnie tchnienie spadającego helikoptera marynarki wojennej.

— No dobra, ale dlaczego?!

— Zabij mnie, ale nie wiem. Darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby.

Pete wszedł do umywalni uśmiechając się, zadowolony, że może jeszcze się śmiać. Rozebrał się i starannie poskładane ubranie położył na ławce. Niedaleko pod ścianą leżało opakowanie po mydle i wyciśnięta tubka pasty do zębów. Podniósł je i wrzucił do pojemnika. Wziął opartą o ściankę działową szczotkę na kiju i wytarł posadzkę w miejscu, gdzie Sonny nachlapał przy goleniu. Ktoś musiał utrzymywać porządek. Martwiłby się, gdyby to nie Sonny tak nabałagał. Ale ten nie wariował. Zawsze był taki. No i patrzcie, znów zostawił otwartą brzytwę.

Pete skrupulatnie ustawiał krany prysznica, dopóki ciśnienie i temperatura wody w pełni go nie zadowolili. Ostatnio wszystko robił starannie. Właśnie teraz tak wiele chciało się czuć, doznawać, oglądać. Uderzenia wody o skórę, zapach mydła, odczucie światła i ciepła, świadomość wyraźnego

ucisku od stania na całych stopach... zastanawiał się trochę, jak oddziaływałyby na niego powolny wzrost radioaktywności w powietrzu (choćby azot po transmutacji w izotop C¹⁴), gdyby poza tym w pełni zachował całkowite zdrowie.

Co się dzieje najpierw? Utrata wzroku? Bóle głowy? A może brak apetytu i stopniowe wyczerpanie?

Dlaczego by tego nie sprawdzić?

Z drugiej strony, po co się zadreć. Tylko niewielki odsetek ludzi umrze z powodu zatrucia radioaktywnego. Już wcześniej istniało aż nadto innych sposobów uśmiercania — szybciej i bez zbędnych cierpień. Ta brzytwa, na przykład. Teraz leżała lśniąc w promieniach słońca, zakrzywiona i gładka w złocistym świetle. Używali jej ojciec i dziadek Sonny'ego, on przynajmniej tak twierdził. Była jego dumą i radością.

Pete odwrócił się do niej tyłem, namydlił się pod pachami, zaabsorbowany delikatnymi muśnięciami pękających banieczek mydła. Kiedy pogrążył się znowu we wstępie do samego siebie z powodu tak częstych rozmyślań o śmierci, uderzyła go zatrważająca prawda. Przecież myśli tych nie podsuwał mu jego chorobliwy umysł! To właśnie dobra znajomość rzeczy przynosiła myśli o śmierci. Było tak: albo „nigdy więcej tego nie zrobię”, albo „to już chyba ostatni raz, kiedy to robię”. Może poświęcić się całkowicie robieniu wszystkiego inaczej, pomyślał szaleńczo. Może teraz czołgałby się po podłodze, a kiedy indziej chodził na rękach. Może darowałbyś sobie dzisiejszy obiad, a zamiast niego przekąsił coś o drugiej w nocy, zaś na śniadanie zjadłbyś trochę trawy.

Jednak musisz oddychać. Twoje serce musi bić. Będziesz się pocił i dygotał jak zawsze. Nie uciekniesz od tego. Kiedy to się zdarzy, przypomnisz sobie. Twoje serce nie wybije już swego rytmu, już nigdy. Będzie biło coraz słabiej, coraz słabiej, aż zadudni i zatętni ci w uszach, i będziesz musiał je zatrzymać.

Ależ błyszczą ta brzytwa.

Twój oddech będzie nadal taki jak przedtem. Możesz wymknąć się chyłkiem jednymi drzwiami, wrócić innymi czy jeszcze innymi, wymyślić zupełnie nowy sposób na przedostanie się przez następne, ale powietrze twego oddechu będzie prześlizgiwało się tam i z powrotem przez twe nozdrza jak brzytwa po policzkach, wydając odgłos podobny do świstu brzytwy ostrzonej na pasku.

Wszedł Sonny. Pete namydlił włosy. Tamten podniósł brzytwę i stał, wpatrując się w nią. Pete go obserwował; mydło spłynęło mu do oczu. Zaklął. Sonny odskoczył.

— Co się tak gapisz, Sonny? Nigdy przedtem jej nie widziałeś?

— Ależ tak. Oczywiście. Ja tylko... — zamknął brzytwę, otworzył ją, błysnęło ostrze. Zamknął ją ponownie. — Mam jej dość, Pete. Zamierzam się jej pozbyć. Może chcesz?

Czy chcę? Może jeszcze włożyć ją do żołnierskiego kuferka. Pod poduszkę.

— Nie, Sonny, dzięki. Nie umiałbym się tym posługiwać.

— Ja lubię maszynki do golenia — wymamrotał Sonny. — Najlepiej elektryczne. Co z nią zrobimy?

— Wrzuć ją do... nie. — Pete zataczał w powietrzu łuk brzytwą półotwartą, błyszczącą ponad paszczą pojemnika. — Wyrzuć ją przez... — Nie. Padająca łukiem w wysoką trawę. Mógłby chcieć ją odzyskać. Czołgałby się może naokoło, szukając jej przy świetle księżyca. I mógłby ją odnaleźć.

— A może bym ją połamał na kawałki?

— Nie — sprzeciwił się Pete. — Kawałki... — Drobne ostre kawałeczki. Wbite w ziemię odłamki. — Coś wymyślę. Zaczekaj, aż się ubiorę.

Mył się szybko i wycierał, a Sonny stał wpatrzony w brzytwę. Było to ostrze i gdyby je nawet chciał połamać, zostałyby łuski i lśniące odłamki, nadal ostre jak brzytwa. Gdyby ostrze całkowicie zetrzeć na tarczy szlifierskiej, ktoś i tak mógłby znaleźć brzytwę i naostrzyć ją ponownie, ponieważ była to ponad wszelką wątpliwość brzytwa — wspaniała stalowa brzytwa, którą można ćwiartować na tak...

— Wiem! Laboratorium. Pozbędziemy się jej — stwierdził Pete z pewnością w głosie.

Wskoczył w ubranie i obaj poszli do skrzydła laboratoryjnego. Panował tam zupełny spokój. Ich głosy odbijały się echem.

— Do któregoś z pieców — powiedział Pete, sięgając po brzytwę.

— Piekarnicznych? Oszalałeś!

— Nie byłeś tu nigdy, prawda? — zachichotał Pete. — Jak wszędzie w Bazie, także i tutaj działa się znacznie więcej, aniżeli myślała większość. To miejsce nazywano piekarnią. No cóż, oficjalnie była to główna siedziba badań nad uzyskiwaniem nowych odmian wysokokalorycznej mąki. Ale jest tutaj jeszcze mnóstwo innych rzeczy. Prowadziliśmy tu przeróżne prace, testowaliśmy narzędzia, projektowali przyrządy do obierania jarzyn. Tutaj znajduje się palenisko elektryczne, które... — otworzył drzwi pchnięciem.

Przeszli przez wydzielone długie, zagracone pomieszczenie prowadzące do aparatury termicznej.

— Tutaj można robić wszystko, począwszy od wyżarzania szkła, przez pokrywanie szkliwem ceramiki, aż do ustalania temperatury topnienia patelni. — Pete wcisnął na próbę przełącznik; zapaliło się światelko kontrolne. Otworzył na oścież małe, ciężkie drzwiczki i umieścił wewnątrz brzytwę. — Buźka na do widzenia. Za dwadzieścia minut będzie z niej mokra plama.

— Chcę to zobaczyć — powiedział Sonny. — Mogę się przyglądać, aż się usmaży?

— Czemu nie?

Przechodzili przez laboratoria. Były wspaniale wyposażone, tylko dziwnie ciche. Minęli jakiegoś majora, który pochylał się nad skomplikowanym układem elektronicznym rozmieszczonym na jednym z pulpity. Obserwował migotanie małego bursztynowego światelka i nie odwzajemnił honorów wojskowych. Przeszli obok niego na palcach, podziwiając zaabsorbowanie i zazdroszcząc mu. Zobaczyli modele automatycznych zgniataczy, witaminizatorów, zdalnej sygnalizacji termostatów, stoperów, urządzeń sterujących.

— Co jest tam?

— Nie wiem. Jestem poza granicami swojego rejonu. Nie sądzę, by ktokolwiek pozostał w tej strefie. Byli to przeważnie teoretycy — mechanicy i elektrycy. Ejże!

— Co takiego? — Sonny podążył wzrokiem za wyciągniętą dłonią.

— Ten kawałek ściany. Chwieje się, a zresztą, co to można wiedzieć! — Pete pchnął wystający nieznacznie fragment muru. Za nim była ciemna przestrzeń.

— Co tam jest?

— Nic albo jakiś półprywatny szemrany interes. Tym facetom zwykle uchodziło wszystko bezkarnie.

— Czy to nie robota teoretyków z Armii? — spytał Sonny z niezwykłym u niego przebłyskiem ironii.

Zajrzeli ostrożnie do środka, a potem weszli.

— Coś takiego! Drzwi!

Te rozwarły się szybko i cicho zamknęły. Delikatnie trzasnął rygiel; rozbłysło światło.

Pomieszczenie było małe i pozbawione okien. Mieściła się w nim maszynownia — urządzenie do powolnego ładowania akumulatorów, zespół tychże, generator prądu elektrycznego, dwie niewielkie, samoczynne, napędzane gazem instalacje oświetleniowe oraz silnik Diesla z

cyndrami rozruchowymi na sprężone powietrze. W rogu stał zestaw przekaźników z tablicą rozdzielczą, zaspawaną na głucho. Sterczała z niego dźwignia zakończona czerwoną gałką.

Przez pewien czas wpatrywali się w aparaturę jak oniemiałi.

— Ktoś chciał mieć absolutną pewność, że dysponuje dostateczną energią — odezwał się Sonny.

— Zastanawiam się tylko, co... — Pete podszedł do przekaźnika. Patrzył na dźwignię nie dotykając jej. Była zabezpieczona drutem. Na drucie, za rączką umieszczono zwiniętą karteczkę. Rozwinął ją ostrożnie. — „Użyć tylko na specjalny rozkaz głównodowodzącego” — przeczytał.

— Pociągnij i zobacz, co się stanie.

Z tyłu za nimi coś trzasnęło. Obrócili się.

— Co to było?

— Zdaje się, że to z tego urządzenia przy drzwiach.

Zbliżyli się ostrożnie. Był tam solenoid przymocowany napiętą sprężyną do pręta zawieszono na zawiasach w taki sposób, by opadał wprost do wnętrza tajemniczych drzwi, gdzie wsuwał się w stalowe czopy tablicy rozdzielczej. Szczęknęło ponownie.

— Licznik Geigera — stwierdził zde gustowany Pete.

— Po co projektowali drzwi — rozmyślał Sonny — które pozostają zamknięte, dopóki powszechna radioaktywność nie przekracza określonego stopnia? To właśnie tak. Widzisz przekaźniki? I wyłącznik przeciążenia, tam dalej? A to?

— Mają także i ręczne zamknięcie — zauważył Pete. Licznik znów trzasnął. — Wynośmy się stąd. Ostatnio coś mi ciągle chodzi po głowie.

Drzwi otworzyły się z łatwością. Wyszli zamykając je za sobą. Dziurka od klucza była chytrze ukryta w szparze między deskami.

Milczeli w drodze powrotnej do laboratoriów Kwatermistrzostwa. Lekki dreszcz niepokoju zniknął.

Znalazszy się z powrotem przy palenisku Pete spojrzął na wskaźnik temperatury. Kopnięciem uruchomił mechanizm zatrasku. Światelko kontrolne zgasło, a następnie drzwi otworzyły się na oścież. Zmrużyli oczy i zaczęli wycofywać się z zasięgu żaru. Pochylili się i zajrzeli do środka. Brzytwa zniknęła. Na dnie komory lśniła kałuża.

— Niewiele zostało. Większa część się utleniła — mruknął Pete.

Stali tak obaj przez jakiś czas, a na ich twarzach igrało światło zniszczenia. Później, kiedy wracali do koszar, Sonny westchnął przerywając długie milczenie.

— Cieszę się, że to zrobiliśmy, Pete. Okropnie się cieszę — powiedział.

Za piętnaście ósma czekali już w koszarach przed konsolą. Wszyscy z wyjątkiem Pete'a i Sonny'ego, oraz przysadzistego kaprała o sztywnych jak druty włosach, zwanego Bonze, postanowili oglądać występ na dużym ekranie kasyna. Odbiór był tam oczywiście lepszy, ale za to, jak to ujął Bonze, „w tak dużym wnętrzu trudno się skupić na tym, co się widzi”.

— Mam nadzieję, że jest wciąż taka sama — powiedział Sonny, na wpół do siebie.

Dlaczego miałyby pozostać taka sama? pomyślał Pete markotnie włączając odbiornik i obserwując, jak ekran zaczyna się jarzyć. W ciągu minionych dwóch tygodni coraz więcej złotych cętek zakłócało odbiór... Dlaczego wszystko miałyby być zawsze takie samo?

Zwalczył nagłą pokusę, aby kopniakiem rozwalić odbiornik na kawałki. I to urządzenie, i Starr Anthim należały do czegoś, co było już martwe. Cały kraj był martwy, prawdziwa niegdys ojczyzna — kraj bogaty, kwitnący, roześmiany, silny, rozrastający się i zmieniający, na ogół zdrowy, tylko miejscami zagrożony trądem ubóstwa i niesprawiedliwości, ale wystarczająco zdrowy, aby zwalczyć każdą chorobę. Ciekaw był, jak by się to podobało mordercom. Nie ma im

teraz czego zazdrościć. Ani dokąd iść, ani z kim walczyć. Teraz to prawda dla każdej żywej istoty na ziemi.

— A ty się łudzisz, że ona jest wciąż taka sama — wymamrotał.

— Mam na myśli występ — powiedział łagodnie Sonny. — Chciałbym tylko tak tu siedzieć i żeby było tak jak... jak...

Ach, to o to chodzi, pomyślał mgliście Pete. Żeby mieć dokąd pójść, to właśnie to, choć na kilka minut...

— Wiem — powiedział w końcu, a z jego głosu zniknęła cała szorstkość.

Zakłócenia dźwięku ustąpiły, kiedy włączono nadajnik. Światło zawirowało na ekranie i utworzyło diamentowy wzór. Pete nastawił ostrość, barwę i kontrast.

— Zgaś światło, Bonze. Chcę widzieć tylko Starr Anthim — powiedział. Na początku było jak zawsze. Starr Anthim nigdy nie używała fanfar, przenikania obrazów, mnogości kolorów ani zgiełku, które stosowali jej współcześni. Czarny ekran, a potem pstryk i blask złota. Był wszędzie, ostry i szalenie intensywny. To się nie zmieniło. Zmieniły się raczej oczy, które to oglądały. Zawsze po swym pojawieniu się przez kilka sekund trwała nieruchomo. Po prostu była, jak z portretu, ze swą białą szyją i spokojnym obliczem. Oczy miała otwarte i senne. Twarz żywą, ale nieruchomą.

Potem w jej oczach, które wydawały się zielone, a były niebieskie w złote cętki, zaczęła wzbierać świadomość, aż je obudziła. Wtedy stały się dostrzegalne jej rozchylone usta. To coś w oczach sprawiło, że były widoczne, chociaż nic jeszcze nie drgnęło. Dopiero po chwili wolno pochyliła głowę, tak że niektóre złote cętki zdały się pochwycone przez złote brwi. Oczy nie patrzyły jeszcze na publiczność. Patrzyły na mnie, wciąż na mnie i na MNIE.

— Witajcie — rozpoczęła. Była jak senna zjawia. Miała tylko trochę nierówne zęby małej dziewczynki.

Bonze zadrżał. Polowe łóżko, na którym leżał, zaskrzypiało. Sonny poruszył się rozdrażniony. Pete wyciągnął rękę w ciemność i chwycił nogę łóżka. Skrzypienie ustało.

— Mogę zaśpiewać? — spytała Starr. Słysząc było muzykę, ale bardzo słabo. — To stara piosenka, jedna z najlepszych. Prosta, ale głęboka, płynąca od mężczyzn i kobiet stanowiących część ludzkości — tę część, która nie zna chciwości, nienawiści, strachu. To piosenka o radości i sile. Moja ulubiona. Wasza także?

Muzyka wzmogła się. Pete rozpoznał dwie pierwsze nuty wstępu i cicho zaklął. To nie tak. Ta piosenka nie nadawała się na... była częścią...

Sonny siedział oczarowany. Bonze leżał spokojnie.

Starr Anthim zaczęła śpiewać. Głos miała niski i potężny, a zarazem łagodny, z leciutką zaledwie wibracją pod koniec frazy. Dźwięki bez widocznego wysiłku zdawały się płynąć z jej twarzy, z jej długich włosów, z jej szeroko osadzonych oczu. Jej głos, podobnie jak twarz, był stonowany i czysty, pełny, niebieski i zielony, a przede wszystkim złoty.

*Kiedy daleś mi swoje serce, daleś mi cały świat,
Daleś mi noce i dnie,
I gromy, i róże, i wonną zieleń traw,
I morze, i miękką, wilgotną ziemię.*

*Spijałam świt ze złotej czary,
Ze srebrnej — zmierzch,
Mój rączy rumak był dzikim zachodnim wiatrem,
Moja pieśń — strumieniem i skowronkiem.*

Muzyka zawirowała, zabrzmiała kołędą, przeszła w smętny, stłumiony płacz wygłodniałych sekst i non. Rosła, aż wreszcie zagrzmiała, by potem urwać się pozostawiając samotny, wypełniający przestrzeń głos:

*Mój grom poraził zło tego świata,
Moje róże dały zwycięstwo dobru,
Obmywałam się w morzu, a z ziemi budowałam
I świat stał się siedliskiem światła!*

Ostatnia nuta przywróciła twarzy całkowity spokój i bezruch. Twarz zdała się senna, ale żywa, gdy muzyka klucząc odpłynęła do miejsc, w których odpoczywa, kiedy jest niesłyszalna.

Starr uśmiechnęła się.

— To takie łatwe — powiedziała. — Takie proste. Wszystko, co świeże i czyste, i silne w człowieku, zawiera się w tej piosence i myślę, że to jest wszystko, co powinno być ważne dla człowieka. — Pochyliła się do przodu. — Rozumiecie?

Uśmiech zgasł i ustąpił miejsca lekkiemu zdumieniu. Między jej brwiami pojawiła się delikatna bruzda. Starr cofnęła się szybko.

— Chyba nie potrafię dziś do was mówić — rzekła ściszone głosem. — Jest w was nienawiść.

Nienawiść przybierała kształt monstualnego grzyba. Nienawiść upstrzyła bezładnie ekran wideo.

— To, co nas spotkało — powiedziała Starr szorstko i bezosobowo — także jest proste. Nieważne, kto to zrobił, rozumiecie? To nie ma znaczenia. Zaatakowano nas. Uderzono ze wschodu i z zachodu. Większość stanowiły bomby atomowe — użyto bomb burzących i pyłowych. Trafiło nas mniej więcej pięćset trzydzieści bomb naraz i to nas zabiło.

Przerwała.

Sonny strzelił pięścią w dłoń. Bonze leżał z otwartymi oczami, otwartymi i spokojnymi. Pete zacisnął szczękę aż do bólu.

— Mamy więcej bomb niż oni wszyscy. Mamy je. Ale nie użyjemy ich. Chwileczkę! — Uniosła nagle ręce i popatrzyła, jak gdyby potrafiła zajrzeć każdemu w twarz, a oni z napięciem odchyliłi się do tyłu.

— Powietrze jest tak bardzo nasycone C^{14} , że wszyscy na tej półkuli powymierają. Nie bójcie się tego powiedzieć. To prawda, której należy spojrzeć prosto w oczy. Ponieważ zjawisko transmutacji rozprzestrzenia się z ruin naszych miast, radioaktywność powietrza się wzmacza, wskutek czego będziemy musieli umrzeć. Po kilku miesiącach albo po roku skutki okażą się dotkliwe także i za oceanem. Również i tam większość ludzi umrze. Nikt nie wyjdzie z tego bez szwanku. Spotka ich jednak coś gorszego niż to, co nam zgotowali, ponieważ ogarnie ich fala strachu i przerażenia, co dla nas już jest niemożliwe. My po prostu umrzemy. Oni będą żyli, napromieniowani, chorzy; a dzieci, które im się narodzą... — Potrząsnęła głową, a jej dolna warga nabrzmiała. W sposób widoczny opamiętała się.

— Pięćset trzydzieści bomb... Nie sądzę, aby którykolwiek z atakujących wiedział, jak silny jest ten drugi. Utrzymywano to w takiej tajemnicy — jej głos posmutniał. Wzruszyła z lekka ramionami. — Zabijając nas zniszczyli samych siebie. Jeśli idzie o nas, to też nie jesteśmy bez winy. I nie jesteśmy na tyle bezradni, aby nie móc nic zrobić — przynajmniej na razie. Jednak to, co winniśmy uczynić, jest dla nas bezlitosne. Musimy umrzeć, rezygnując z uderzenia odwetowego.

Spojrzała szybko na każdego z osobna.

— Nie wolno nam wykonać uderzenia odwetowego. Ludzkość ma oto Przejść przez piekło samozagłady. Możemy odpowiedzieć odwetem — bądź łaską, jak kto woli — i uderzyć setkami bomb, które mamy. Uderzenie wyjałowiłoby całą planetę do takiego stopnia, że nie uratowałaby się nawet bakteria, nawet źdźbło trawy i nic nowego nie mogłoby już wyrosnąć. Obrócilibyśmy ziemię w martwy przedmiot, martwy i umarły na zawsze.

Nie, to po prostu nie miałyby sensu. Nie możemy tego zrobić.

Pamiętacie piosenkę? To jest właśnie humanizm. Odnajdujemy go we wszystkich istotach ludzkich. Jakaś choroba na pewien czas uczyniła z innych ludzi naszych wrogów, jednak kiedy dokona się przemiana pokoleń, wrogowie staną się przyjaciółmi, a przyjaciele wrogami. W ogromie historii wrogość tych, którzy nas zabili, jest czymś niewielkim i chwilowym!

Zniżyła głos.

— Umierajmy ze świadomością, że dokonaliśmy jedynego szlachetnego czynu, jaki nam pozostał. Iskierka życia ludzkiego będzie nadal mogła się tlić i rosnąć na tej planecie. Zostanie niemal zdmuchnięta i zalana, będzie drżeć i o mało nie zgaśnie, jednak przetrwa, jeśli ta piosenka mówi prawdę. Przetrwa, jeśli jesteśmy na tyle ludzcy, aby nie zważać na fakt, że iskierka ta jest pod strażą naszego chwilowego wroga. Niektóre... pewna liczba jego dzieci przeżyje, aby połączyć się z nową rasą ludzką wychodzącą stopniowo z dżungli i z puszczy. Być może nastąpi dziesięć tysięcy lat zezwierżenia, ale może człowiek będzie zdolny się odrodzić, póki stoją jeszcze ruiny.

Podniosła głowę. Jej głos bił jak dzwon.

— Nawet jeśli to jest koniec gatunku ludzkiego — mówiła — nie miejmy odwagi odbierać szansy innym formom życia, które mogą powstać po naszej klęsce. Jeżeli zemścimy się, nie pozostanie ani pies, ani jeleń, ani małpa, ani ptak, ani ryba, ani jaszczurka, aby nieść kaganek ewolucji. W imię sprawiedliwości: jeżeli musimy skazać i zniszczyć siebie, nie skazujmy wszystkich innych form życia istniejących razem z nami! Ludzkość jest już wystarczająco obciążona grzechami. Jeśli musimy niszczyć, poprzestańmy na zniszczeniu siebie!

Dało się słyszeć migotliwe, drżące tony. Zdawały się poruszać jej włosami niczym powiew wiatru. Uśmiechnęła się.

— To wszystko — szepnęła żegnając każdego ze słuchaczy słowem „dobranoc” .

Ekran zaciemnił się. Kiedy bez zapowiedzi przerwano nadawanie, wszędobylskie cętki wyroiły się na całą szerokość ekranu.

Pete wstał i zapalił światła. Bonze i Sonny wciąż milczeli. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim Sonny usiadł wyprostowany, drżąc jak szczenię. Coś poza ciszą zdawało się powstrzymywać ruchy.

— Nie wolno wam z niczym walczyć ani uciekać, ani żyć. Teraz nie możecie już nawet nienawidzić, ponieważ Starr nie pozwala — powiedział cicho Sonny.

W jego głosie brzmiała gorzkość, a w powietrzu czuć było gorzki zapach. Pete Mawser pociągnął nosem, co nie miało zresztą żadnego związku z zapachem. Zrobił to po raz drugi.

— Co tak pachnie, Son? — spytał.

Sonny wciągnął powietrze.

— Nie wiem — stwierdził. — Coś znajomego. Czyżby wanilia? Nie... nie.

— Migdały. Gorzkie... Bonze!

Bonze leżał nieruchomo z otwartymi oczyma i grymasem uśmiechu na twarzy. Mięśnie szczęk miał ściągnięte, tak że widać mu było prawie wszystkie zęby. Ociekał potem.

— Bonze!

— To stało się właśnie wtedy, gdy ona pojawiła się i powiedziała „witajcie?”, pamiętasz — wyszeptał Pete. — Biedny dzieciak. To dlatego chciał obejrzeć przedstawienie tu, a nie w kantynie.

— Odszedł patrząc na nią — powiedział Sonny sinymi wargami. — Nie mogę powiedzieć, żeby go specjalnie potępiał. Ciekawe, skąd wziął ten towar.

— Mniejsza o to! — krzyknął Pete szorstko. — Wyjdźmy stąd.

Poszli wezwać karetkę. Bonze leżał wpatrzony w konsolę martwymi oczyma, a w powietrzu unosił się zapach gorzkich migdałów.

Pete nie zdawał sobie sprawy, dokąd idzie ani dokładnie dlaczego, dopóki nie znalazł się na ciemnej uliczce przy Kwaterze Głównej i baraku łączności. Pomyślał, że byłoby przyjemnie słyszeć Starr, a także widzieć ją zawsze, gdyby miał na to ochotę. Być może nie istniały żadne nagrania; jednak podkład muzyczny odtworzono z playbacku, a oddział łączności mógł też nagrać cały koncert.

Stał niezdecydowany przy budynku Kwatery Głównej. Przed głównym wejściem zebrała się grupka ludzi. Pete uśmiechnął się. Ani deszcz, ani śnieg, ani grad, ani mrok nocy nie odpędziłyby pilnującego wejścia szeregowca.

Pete poszedł w dół boczną uliczką, a potem w górę, do rampy na tyłach, gdzie dostarczano pocztę. Znalazł tam dwoje drzwi w murze — tylne wyjście z Sektora Łączności.

W baraku łączności paliło się światło. Właśnie wyciągał rękę do drzwi z drucianą siatką, gdy zauważył kogoś stojącego tuż obok w cieniu. Światło pobłyskiwało delikatnie na złocistych konturach głowy i twarzy.

Pete zatrzymał się.

— S... Starr Anthim! — wykrzyknął.

— Witaj, żołnierzu. Sierzancie.

— Ja... — splonął się jak młodzieniec. Zaniemówił. Przełknął ślinę i podniósł do góry rękę, by zerwać z głowy kapelusz. Nie, nie ma przecież kapelusza! — Oglądałem występ — wydobył z siebie. Czuł się niezręcznie. Było ciemno, ale wiedział bardzo dobrze, że ma byle jak wyczyszczone buty.

Przesunęła się w jego stronę do światła i była tak piękna, że musiał Przymknąć na chwilę oczy.

— Jak się pan nazywa? — spytała.

— Mawser. Pete Mawser — odpowiedział. — Koncert się podobał?

— Nie — powiedział z naciskiem, nie patrząc na nią.

— Ach, tak?

— To znaczy... podobały mi się niektóre fragmenty. Piosenka.

— Chyba rozumiem.

— Czy mógłbym może dostać nagranie?

— Chyba tak — odpowiedziała. — Jaki ma pan odtwarzacz?

— Audiowid.

— Dysk, w porządku. Nagraliśmy kilka. Proszę zaczekać, przyniosę panu jeden.

Weszła powoli do środka. Pete obserwował ją urzeczony. Była postacią, osobą ukoronowaną, otoczoną nimbem. A także oprawionym w ramy obrazem — żywym i złocistym. Czekał, pożądliwie obserwując tę jasność. Wracała z dużą kopertą, zawołała jeszcze „dobranoc” do kogoś w środku i wyszła na murowane podwyższenie.

— Proszę, Pete Mawser.

— Dziękuję bar... — wybąkał. Obliznął usta. — To bardzo miło z pani strony — dodał.

— Niezupełnie. Im więcej ich będzie w obiegu, tym lepiej — zaśmiała się nagle. — Nie trzeba rozumieć tego dosłownie. Nie zależy mi ostatnio na większej sławie.

Upór powrócił. — Nie wiem, czy by ją pani zdobyła, gdyby ten występ odbył się w normalnych czasach.

— Hm — uśmiechnęła się, unosząc brwi — zdaje się, że zrobiłam niebywałe wrażenie.

— Przepraszam — powiedział ciepłym głosem. — Nie powinienem był tak się zachować. Wszystko, o czym ostatnio myślę i co mówię, jest przesadzone.

— Wiem, co chce pan przez to powiedzieć. — Rozejrzała się wokoło. — Jak tutaj jest?

— Nienajgorzej. Zwykle drażniła mnie konieczność zachowywania tajemnicy i to zagrzebanie się gdzieś całe mile od cywilizacji — zachichotał z goryczą. — Okazało się jednak, że trafiłem dość szczęśliwie.

— Brzmi to jak pierwszy rozdział książki *Jeden świat albo żaden*.

— Jakiej listy lektur się pani trzyma? Czy to urzędowy *Index Expurgatorius*? — spytał, przyglądając się jej.

— Skądże znowu — zaśmiała się. — Nie jest tak źle. Ta książka nigdy nie była na indeksie. Jest tylko...

— Niemodna — dokończył.

— Tak, tym gorzej. Gdyby ludzie zwrócili na nią większą uwagę w latach czterdziestych, być może nie stałoby się to, co teraz.

Podążył za jej wzrokiem w górę aż do lekko rozedrganego nieba.

— Jak długo ma pani zamiar tu pozostać? — spytał.

— Aż... dopóki... ja nie wyjeżdżam.

— Nie?!

— Moja droga dobiegła końca — powiedziała po prostu. — Dotarłam wszędzie, dokąd można. Byłam we wszystkich miejscach... o których wiemy.

— Z tym programem? Skinęła potakująco głową.

— Z tą szczególną misją — dodała.

Milczał zamyślony. Obróciła się w stronę drzwi, a on wyciągnął rękę, ale jej nie dotknął.

— Proszę — zaczął.

— O co chodzi?

— Chciałbym... to znaczy, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu... niezbyt często mam okazję porozmawiać z... może zechciałaby pani przejść się trochę przed snem?

— Nie, sierzancie, dziękuję. Jestem zmęczona. — Istotnie robiła wrażenie zmęczonej. — Spotkamy się znowu.

Spojrzał na nią zdumiony i nagle w jego mózgu rozbłysnął jakiś szalony ogień.

— Wiem, gdzie to jest. To zakończona czerwoną gałką dźwignia z przywiązaną karteczką „na rozkaz głównodowodzącego”. Wszystko dokładnie zamaskowane.

Milczała tak długo, że pomyślał, iż go nie słucha.

— Zgadza się na ten spacer — odezwała się po chwili.

Oboje szli wzdłuż rampy, po czym skręcili w kierunku ciemnego placu apelowego.

— Skąd pan wiedział? — spytała cicho.

— To nie takie trudne. Ta cała pani misja... fakt, że jeździła pani z nią po całym kraju. A przede wszystkim to, że ktoś uważa za konieczne przekonać nas, byśmy nie wykonali uderzenia odwetowego. Dla kogo pracujesz? — spytał bez ogródek.

Roześmiała się; zaskoczyło go to.

— Czemu to ma służyć? — uzupełnił pytanie.

— Jeszcze przed chwilą czerwieniłeś się i plątały ci się nogi.

— Nie mówiłem wtedy do istoty ludzkiej — powiedział szorstko. — Mówiłem do tysiąca piosenek, których wysłuchałem, i do stu tysięcy poprzypinanych złotowłosych obrazków. Powiedz mi lepiej, co to wszystko ma znaczyć.

— Wejźmy na górę i spotkajmy się z pułkownikiem — mówiąc te słowa zatrzymała się.

— Nie — odparł biorąc ją pod ramię. — Jestem zwykłym sierżantem, a on wyższym oficerem. Teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Ty jesteś

istotą ludzką i ja także, i powinienem uszanować twoje prawa. Ale nie zrobię tego. Lepiej będzie, jeżeli mi o tym opowiesz.

— W porządku — przystała ze znużeniem, które wywoływało w nim jakiś wewnętrzny strach. — Zdaje się jednak, że naprawę odgadłeś. Masz słusność. Na terenach wyrzutni istnieją główne przyciski do odpalania. Zlokalizowaliśmy i zdemontowaliśmy wszystkie poza dwoma. Bardzo prawdopodobne, że jeden wyparował w wybuchu. Drugi — zaginał.

— Zaginał?

— Nie muszę chyba ci mówić o trzymaniu wszystkiego w tajemnicy. Wiesz, jak się to rozwijało między poszczególnymi krajami. Musisz wiedzieć, że tak było też między stanami a władzami federalnymi, między ministerstwem a ministerstwem, między urzędem a urzędem. Tylko trzy lub cztery osoby wiedziały, gdzie znajdują się wszystkie przyciski. Trzy z tych osób przebywały w Pentagonie, kiedy go trafiono. Trzecia eksplozja, pamiętasz. Jeżeli istniała jeszcze czwarta osoba, to mógł nią być tylko Senator Vanercook, a on zmarł trzy tygodnie temu, nie powiedziałszy słowa.

— Czyżby automatyczny klucz radiowy, co?

— Zgadza się. Czy musimy cały czas chodzić, sierżancie? Jestem taka zmęczona.

— Przepraszam — powiedział odruchowo. Przeszli na drugą stronę, na miejsce, z którego dokonywano przeglądu wojska, i usiedli na opustoszałych ławkach. — Wszędzie naokoło urządzenia zapłonowe wyrzutni rakietowych, wszystkie ukryte i wszystkie uzbrojone?

— Uzbrojona jest większość z nich. We wnętrzu znajduje się urządzenie do odmierzania czasu, które rozbroi je po upływie około jednego roku. Jednak do tamtego czasu pozostaną uzbrojone i wycelowane.

— W co wycelowane?

— Nieważne.

— Chyba rozumiem. Jaka jest orientacyjna liczba?

— Około sześciuset czterdziestu. Tak mniej więcej. Do tej pory wystrzelono co najmniej pięćset trzydzieści rakiet. Dokładnie nie wiemy ile.

— Kto nie wie? — spytał z wściekłością.

— Kto? Kto? — zaśmiała się z lekka. — Można by powiedzieć, że to rząd. Jeżeli umiera prezydent, władzę przejmuje wiceprezydent, potem sekretarz stanu i tak dalej, i dalej. Jak daleko można w tym zająć? Pete Mawser, czy ty jeszcze nie uświadamiasz sobie, co się stało?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Jak sądzisz, ilu ludzi pozostało jeszcze przy życiu w tym kraju?

— Nie wiem. Przypuszczam, że kilka milionów.

— Ilu jest tutaj?

— Około dziewięciuset.

— Wobec tego, o ile wiem, jest to największe ze wszystkich istniejących jeszcze miast.

Skoczył na równe nogi. — Nie! — wykrzyknął, a słowo to wydobyło się z niego rykiem, przebijało na wskroś ciemności, miało po opustoszałych domach i powróciło do niego serią niskich dźwięków, odbijających się echem nie... nie... nie...

— Są rozsiani po polach i drogach — Starr zaczęła mówić szybko i cicho. — Siedzą w słońcu i umierają. Biegają grupkami, rozszarpując się nawzajem. Modlą się i głodują, zabijają jedni drugich i umierają w płomieniach. Ogień — wszędzie ogień, pali się wszystko, co dotąd przetrwało. Lato... w Berkshire opadły już liście, a trawa wypaliła się na brunatny kolor. Widać trawę, która umiera od powietrza, i szerzącą się śmierć wyzierającą z martwego krajobrazu. Gromy i róże... Widziałam

róże, te nowe, pnące się z roztrzaskanych doniczek w cieplarni. Brunatne płatki — żywe, ale chore, kolce pozawijane, wrastające w łodygi i uśmiercające kwiat. Feldman zmarł dziś w nocy.

Pozwolił jej milczeć przez chwilę.

— Kto to — Feldman? — spytał po jakimś czasie.

— To mój pilot — mówiła w złożone dłonie i głos jej dudnił. — Umierał przez wiele tygodni. Kończył się. Nie sędzę, by pozostała mu choć odrobina krwi. Przeleciał tuż nad Kwaterą Główną i skierował się na pas lądowania. Podchodził na martwym silniku, z nieruchomymi turbinami i bez żyroskopu. Roztrzaskał podwozie. Sam także był już martwy. W Chicago zabił człowieka, żeby ukraść paliwo. Tamtemu wcale nie chodziło o paliwo. Przy pompie leżała martwa dziewczyna. Nie chciał, byśmy się zbliżyli. Nigdzie się stąd nie ruszę. Zostaję tutaj. Jestem zmęczona.

Rozpłakała się wreszcie.

Pete zostawił ją samą i wyszedł na środek placu apelowego, oglądając się na nikłe światło migoczące na drewnianych ławkach. Jego myśl pomknęła na moment do wieczornego koncertu, do tego, jak śpiewała przed bezlitosnym nadajnikiem. „Witajcie!“. „Jeżeli musimy niszczyć, poprzestańmy na niszczeniu siebie!“.

Nikła iskierka życia ludzkiego... cóż mogło to dla niej znaczyć? Jak mogło to znaczyć tak wiele?

„*Gromy i róże*“. Powykręcane, chore, niezdolne do przetrwania róże, zabijające siebie same własnymi kolcami.

„*I świat stał się siedliskiem światła!*“ Niebieskie światło, migoczące w skażonym powietrzu.

Wróg. Zakończona czerwoną gałką dzwignia. Bonze. „Modlą się i głodują, zabijają jedni drugich i umierają w płomieniach“.

Cóż to były za istoty, ci sprzedaj ni, niepohamowani drapieżcy w ludzkiej skórze? Jakie mieli prawo do jeszcze jednej szansy? Czy było w nich cokolwiek dobrego?

Starr była dobra. Starr płakała. Tylko człowiek może płakać w taki sposób. Starr była człowiekiem.

Czy ludzkość miała w sobie coś ze Starr Anthim?

Starr jest istotą ludzką.

Usiłował odszukać w ciemnościach swe ręce. Żadna planeta, żaden wszechświat nie są dla człowieka ważniejsze niż jego własne ja, niż jego własna postrzegająca jaźń. Te ręce decydowały o całej przeszłości. Podobnie jak dłonie wszystkich ludzi mogły poprzez zwykłe czynności tworzyć historię ludzką albo położyć jej kres. To, czy ową potęgę rąk stanowi siła miliarda dloni, czy tylko tych dwóch, stało się nagle nieistotne wobec wieczności, w której tkwił.

Włożył te ręce człowiecze głęboko do kieszeni i wrócił powoli na drewniane ławki.

— Starr — odezwał się.

Zareagowała płaczliwym kwileniem, dziecinnym i sennym.

— Będą mieli tę szansę, Starr. Nie dotknę klucza.

Usiadła wyprostowana. Potem wstała i podeszła do niego, uśmiechając się. Widział ten uśmiech, ponieważ w tym powietrzu jej zęby nieznacznie fluoryzowały. Położyła mu dłonie na ramionach.

— Pete — powiedziała.

Przez chwilę trzymał ją w objęciach. Potem ugięły się pod nią kolana i musiał ją nieść.

W Klubie Oficerskim, do którego było najbliżej, nie zastał nikogo. Wszedł potykając się i macając ścianę, aż znalazł kontakt. Światło oślepiło go do bólu. Zaniósł ją na kanapę i delikatnie położył. Nie poruszyła się. Miała z jednej strony twarz pobladłą, aż białą jak mleko.

Stał wpatrzony tępo w to miejsce i przyglądając się w osłupieniu Starr potarł je bokiem swych spodni. Na koszuli dziewczyny widniała krew.

Lekarz... nie było przecież lekarza od czasu, kiedy Anders się powiesił. — Wezwij kogoś — mamrotał. — Zrób coś.

Padł na kolana i delikatnie rozpiął jej koszulę. Między topornym, niekobiecym stanikiem z przydziału a górą spodni na boku była krew. Błyskawicznie wydobył chusteczkę i zaczął wycierać. Nie widział żadnej rany ani śladu ukłucia. Ale nagle znów pojawiła się krew. Otarł to miejsce ostrożnie. I znowu krew.

Wyglądało to jakby usiłował wysuszyć ręcznikiem kawałek lodu.

Pobiegł do schładzacza wody, wyjął zakrwawioną chusteczkę i wrócił biegiem do Starr. Ostrożnie zwilżył jej twarz — bladą prawą stroną i zaróżowioną lewą. Chustka znów poczerwieniała, tym razem od kosmetyków, po czym cała twarz stała się blada, a pod oczyma pojawiły się ogromne niebieskie sińce. Obserwował dziewczynę — krew ukazała się na lewym policzku.

— Musi przecież ktoś być... — rzucił się do drzwi.

— Pete! — zawołała.

Zawrócił w biegu na dźwięk jej głosu, uderzył w futrynę i ogłuszony ocknął się jakoś, odzyskał równowagę i znów był przy niej.

— Starr! — krzyknął. — Trzymaj się! Sprowadzę lekarza tak szybko, jak tylko...

Jej dłoń błędziła po lewym policzku.

— Odkryłeś — powiedziała. — Nie wiedział tego nikt poza Feldmanem. Ciężko było to ukryć. — Jej dłoń powędrowała we włosy.

— Starr, sprowadzę...

— Pete, kochanie, obiecasz mi coś?

— Oczywiście, na pewno.

— Nie ruszaj moich włosów. Widzisz, one nie wszystkie... nie wszystkie są moje — powiedziała głosem siedmioletniej dziewczynki, która w coś się bawi. — Po tej stronie wszystkie powypadały. Nie chcę, byś widział mnie taką.

Znów klęczał tuż obok niej.

— Co to jest? Co ci się stało? — spytał ochryplym głosem.

— Filadelfia — mruknęła. — Zaraz na początku. Grzyb wykwitł w odległości pół mili. Studio się zawaliło. Następnego dnia odzyskałam przytomność. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że zostałam porażona. Nie ujawniło się. Moja lewa strona. To nieważne, Pete. Teraz już wcale nie boli.

— Idę po lekarza — skoczył na równe nogi.

— Nie odchodź. Proszę, nie odchodź i nie zostawiaj mnie! Proszę... — w oczach miała łzy. — Zaczekaj jeszcze tylko chwilę. Już niedługo, Pete.

Znów opadł na kolana. Ujęła obie jego dłonie w swoje i mocno je ścisnęła.

— Jesteś dobry, Pete. Jesteś taki dobry... — uśmiechnęła się szczęśliwa. (Nie mogła słyszeć, jak krew tętni mu w uszach, ani ryczącego wiru nienawiści, strachu i udręki, który klębił się w nim.)

Mówiła do niego ścisłym głosem, później szeptem. Chwilami nienawidził siebie za to, że nie może wszystkiego pojąć. Opowiadała o szkole i o pierwszej próbie.

— Tak się bałam, że aż głos zaczął mi wibrować — mówiła. — Nigdy przedtem mi się to nie przytrafiło. Teraz zawsze kiedy śpiewam, dopuszczam do siebie trochę strachu. To łatwe.

Mówiła też coś o skrzynce na kwiaty w oknie, kiedy miała cztery lata. — Dwa prawdziwe żywe tulipany i dzbanecznik. Zawsze żal było mi much.

Potem zapadło długie milczenie. Jego mięśnie drżały od skurczów, sztywniały i stopniowo drętwiały. Chyba się zdrzemnął, bo obudził się gwałtownie, gdy poczuł jej palce na swojej twarzy. Była wsparta na łokciu.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, kochanie... Pozwól mi odejść pierwszej i przygotować wszystko dla ciebie. Będzie cudownie. Zrobię ci specjalnie przyprawioną sałatę. Ugotuję czekoladowy budyń na parze i podam ci jeszcze gorący.

To wszystko było za bardzo poplątane, aby mógł zrozumieć, co mówi. Uśmiechnął się i ułożył ją z powrotem na kanapie. Znow wzięła go za rękę.

Kiedy obudził się po raz drugi, był już biały dzień, a ona nie żyła.

Gdy wrócił do koszar, zastał Sonny'ego Weisenfreuda siedzącego na połowym łóżku. Podał mu nagranie, które podniósł z ziemi w drodze powrotnej przez plac apelowy.

— Jest mokre od rosy. Osusz je, dobrze? — wychrypiał i upadł twarzą w dół na łóżko, z którego korzystał Bonze.

— Pete! Gdzieś ty był? Co się stało? Nic ci nie jest? — pytał Sonny, wpatrując się w niego.

Pete poruszył się trochę i coś zamruczał. Sonny wzruszył ramionami i wyjął dysk audiowidowy z mokrej koperty. Wilgoć nie uszkodziła go specjalnie, chociaż póki był mokry, nie dawał się odtwarzać. Zrobiono go z pierwszorzędnego spiralnego zwoju plastyku włożonego między warstwy izolacji. Głowice elektrostatyczne umieszczone powyżej i poniżej talerza odtwarzacza będą reagować na wahania stałej dielektrycznej zapisane podczas nagrywania, specjalnie wzmacniane dla skanerów. Audio zaś to konwencjonalna igła gramofonowa. Sonny zaczął starannie wycierać dysk.

Pete z trudem wydostał się z obszernego, oświetlonego na zielono pomieszczenia, pełnego migoczących zimnych ognió. Starr wzywała go. Ktoś go poszturchiwał. Opierał się temu starając się usłyszeć, co mówi Starr. Jednak ktoś inny trajkotał zbyt głośno, by dało się słuchać.

Otworzył oczy. Sonny potrząsał nim, a jego okrągła twarz zaróżowiła się z emocji. Audiowid był włączony. Mówiła Starr. Sonny wstał zirytowany i ściszył głos.

— Pete! Pete! — wykrzyknął. — Obudź się, dobrze? Muszę ci coś powiedzieć. Posłuchaj! Obudź się wreszcie!

— Hę?

— Już lepiej. Teraz uważaj. Właśnie słuchałem Starr Anthim...

— Ona nie żyje — powiedział Pete.

Sonny nie zareagował. — Uzmysłowiłem to sobie — mówił dalej wzburzony. — Starr została przysłana tutaj i wszędzie indziej po to, by błagać kogoś, żeby nie użyto naszych bomb atomowych. Gdyby rząd miał pewność, że nie wykonają uderzenia odwetowego, nie zadawałby sobie trudu. Musi, Pete, musi istnieć jakiś sposób, by skierować rakiety w tę bandę morderców — i nawet dobrze wiem, jak się to robi.

Pete w oszołomieniu wyciągnął się w kierunku, z którego dochodził słaby głos Starr. Sonny nie przestawał mówić.

— Załóżmy, że istnieje jakiś główny klucz radiowy — automatyczne urządzenie szyfrowe, coś jak sygnał alarmowy, który mają na statkach. Kiedy radiotelegrafista nadaje cztery długie kreski alfabetem Morse'a, sygnał ten uruchamia dzwonek na wszystkich jednostkach znajdujących się w zasięgu fali radiowej. Przypuśćmy, że istnieje również urządzenie automatyczne do wysłania bomb oraz jego odpowiedniki ukryte na terenie całego kraju. Jak by

to wyginało? Wystarczy pociągnąć niewielką dźwignię. I na tym koniec. Jak, v ukryto to urządzenie? Pośród mnóstwa innego sprzętu, tam właśnie: miejscu, gdzie można się spodziewać dziwnie wyglądających tajemniczych rupieci. W czymś takim jak stacja doświadczalna. Jak właśnie tu. Zaczynasz kapować?

— Zamknij się; nie słyszę jej.

— Do diabła z nią! Możesz posłuchać jej kiedy indziej. Nie zrozumiałeś ani słowa z tego, co powiedziałem!

— Ona nie żyje.

— Taak... No cóż, myślę, że pociągnę za tę dźwignię. Co mam do stracenia? Przynajmniej się tym mordercom... Co t a k i e g o ?

— Ona nie żyje.

— Nie żyje? Starr Anthim? — młodzieńcza twarz Sonny'ego wykrzywiła się. — Chyba się jeszcze nie obudziłeś. Nie wiesz, co mówisz — dodał i opadł na łóżko.

— Ona nie żyje — ochryple powtórzył Pete. — Doznała porażenia od jednej z pierwszych bomb. Byłem z nią, kiedy... kiedy... A teraz zamknij się i zjeżdżaj stąd, i daj mi słuchać! — ryknął chrapliwie.

Sonny wstał powoli.

— I ją także zabili — powiedział. — Zabili ją. To była ostatnia kropla. Tego już za wiele. — Jego twarz pobladła. Wyszedł.

Pete podniósł się. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa; prawie upadł. Dźwignął się z trzaskiem uderzając o konsolę. Ramieniem zawadził o rączkę odtwarzacza, która ześlizgnęła się w poprzek dysku. Nastawił ją ponownie, podkręcił głoś i położył się, by słuchać.

W głowie miał zamęt. Sonny mówił za dużo. Wyrzutnie, automatyczne urządzenia szyfrowe...

„*Daleś mi swoje serce*”, śpiewała Starr. „*Daleś mi swoje serce. Daleś mi swoje serce. Daleś...*”

Pete podniósł się znowu i przesunął rączkę odtwarzacza. Wezbrała w nim złość nie na samego siebie, lecz na Sonny'ego za to, że przez niego dysk zaciął się w tym właśnie miejscu.

Starr wciąż mówiła. Na jej twarzy niezmiennie powracał ten sam wyraz.

„Uderzono ze wschodu i z uderzono ze wschodu i z...”

Znużony znów wstał i popchnął rączkę.

»Daleś mi swoje serce dałeś mi...»

Pete wydał rozpaczliwy okrzyk, bez słów; pochylił się, wstał i jednym c'osem roztrzaskał konsolę.

— I ją także — powiedział w dudniącej ciszy. — Sonny — rzucił później i czekał.

— S o n n y ! — rozległ się krzyk.

Otworzył szeroko oczy; zaklął i wypadł na korytarz.

Kiedy dotarł do wejścia, okazało się zamknięte. Kopnięcie otworzyło je nagle, odkrywając ciemność.

— Ej! — ryknął Sonny. — Zamknij to! Wyłączyłeś światła! Pete zamknął wejście. Zajaśniały światła.

— Pete! Co się stało?

— Nic się nie stało, Son — zachrypiał Pete.

— Na co tak patrzysz? — spytał Sonny z niepokojem.

— Przepraszam — powiedział Pete tak łagodnie, jak tylko mógł. — Chciałem tylko się o czymś przekonać, to wszystko. Czy mówiłeś o tym jeszcze komuś? — spytał, wskazując dźwignię.

— Dlaczego miałbym mówić? Nie. Ja sobie to uzmysłowiłem, kiedy spałeś, dopiero co.

Pete rozejrzał się uważnie naokoło, podczas gdy Sonny przestępował z nogi na nogę. Ruszył w kierunku stojaka z narzędziami.

— Jeszcze czegoś nie dostrzegłeś, Sonny — powiedział spokojnie. — Tam na górze — wskazał — na ścianie za tobą. Wysoko. Widzisz?

Sonny odwrócił się. Pete jednym ruchem zdjął czternastocalowy klucz nasadowy i zdzielił nim Sonny'ego najmocniej, jak mógł.

Potem przystąpił do starannego rozpracowywania zasilaczy. Wyciągnął sworznie silników gazowych i za pomocą młotka roztrzaskał cylindry. Odłączył przewody zapłonu Diesla — przy czym opróżniły się zbiorniki sprężonego powietrza — i szczypcami poodcinał pozostałe przewody. Potem rozbił stojak przekąźnika wraz z dźwignią. Kiedy skończył, odłożył narzędzia, schylił się i pogłaskał zmierzwiłone włosy Sonny'ego.

Wychodząc dokładnie zamknął przejście. Niewątpliwie był to kawał znakomitej roboty maskującej. Usiadł ciężko na pobliskim stole warsztatowym.

— Macie swoją szansę — rzucił w odległą przyszłość. — I, na miłość boską, wykorzystajcie ją dobrze.

Potem już tylko czekał.

Przełożyła Stefania Szczurkowska